

To był ciepły wczesnojesienny wieczór drugiego września dwa tysiące piątego roku.

- Tak – pomyślał weteran spoglądając na nieliczną grupkę ludzi zgromadzoną wokół autokaru.

Żując wykałaczkę w kąciку ust, zatrzasnął drzwi od Land Rovera, i nie śpiesznie podszedł do pozostałych weteranów. Pozostali uczestnicy wycieczki jak przez mgłę kojarzyli go, ale i tak bali się podnieść wzrok. Wszyscy stali i prowadzili gadkę o niczym. Było około 18.30 gdy płowe dziewczę o dźwięcznej ksywie „Chomik” zabrało się do robienia listy uczestników. (Zresztą chyba nic z tego nie wyszło, bo przez cały wyjazd liczono uczestników zakładając poprawkę „+” „-”, 2 osoby...).

W pewnym momencie Chomik wyrosła przed weteranem, ten nie śpiesznie podniósł wzrok i spojrzął w górę.

- Czy mogę poprosić o imię i nazwisko ? – spytała Chomik.

- Weteran, po prostu Weteran – odparł weteran.

Chomik zanotowała, i gdy zamierzała płynnym ruchem przejść do następnej osoby usłyszała...

- Moment, możesz mi wyjaśnić, kim są Instruktorzy Harcerskiego Klubu Turystycznego „KLIMAT” ? – pytanie weterana nie pozostawiało żadnej szansy na ucieczkę.

- Eeeeeee... To są ludzie, którzy postanowili, że są fajni i założyli taki klub. – Chomik zupełnie nieświadomie dobiła weterana.

Stał tam jeszcze, sam nie wiedział, może dwie minuty.

W autokarze nic się nie działo, więc wszyscy poszli spać. Zwłaszcza, że klimat podróży ku temu sprzyjał...

zaparowane szyby...

ciepło...

ktoś zdjął buty...

Na końcu, pomiędzy plecakami, na podłodze spał Łukasz S. Ula P. lub Olga D. (któraś z nich...) smyrały go palcami stóp po nosie, a że właśnie śnił się im bieg przełajowy...

- Ech młodość – pomyślał weteran.

W międzyczasie z Rudawki Czychu dostał telefon od Dębika, z cyklu co ma kupić na kolację... „Browar” echo jeszcze długo, po wyłączeniu przez Dębika telefonu, niosło po lesie radosny dźwięk odpowiedzi zgromadzonych wokół Czycha weteranów.

Pierwszy przystanek zostałby, w zasadzie, przez podróżujących nie zauważony, gdyby nie fakt, że kierowca otworzył drzwi i zrobiło się chłodno...

Praktycznie wszyscy od razu pobiegli do knajpy w celu zrobienia siusiu. Weteran odprowadził ich wzrokiem i odczekał chwilę. Dość szybko drzwi od baru otworzyły się, i grupa harcerzy wybiegła na zewnątrz szukając krzaków.

- Pewnie drogi i w kiepskim standardzie – pomyślał weteran i nie śpiesznie udał się w najciemniejszy kąt parkingu. Gdy już tam dotarł, przy pomocy rzuconego patyka sprawdził, czy ogrodzenie jest pod napięciem.

Zaiskrzyło.

-Klasyka – pomyślał weteran. Gdzieś z boku dobiegł go stłumiony krzyk. To młodzież właśnie odkrywała, że nie należy sikać na płot pod napięciem.

- Eh – weteran westchnął i kiwając głową załatwił swoją dosyć już pilną potrzebę.

Na parkingu stali około 20 minut, ze względu na tachograf i przepisy BHP dla kierowców autobusu. W tym czasie weteran odkrył, że wśród podróżujących jest druhna Agnieszka. Od razu przypomniał mu się wyjazd na biwak na działkę nad Świder, wraz z drużyną... Był rok '88 był małym brzdącem, który zdobywał sprawności kuchcika i HKJ świat był piękny i bez troski.

- O Bogowie – wyszeptał, gdy wspomnienia przeminęły.

Następny przymusowy przystanek był na Orlenie w Augustowie. Wszyscy trochę byli już zniecierpliwieni, bo cel podróży był bliski.

W Rudawce byliśmy w okolicy północy. Po rozlokowaniu sprawnie zarządzono odprawę na grę nocną. Gra była dosyć prosta, wszyscy byliśmy komandosami, i musieliśmy odkryć dlaczego w maju 1941 roku rozpadła się siatka szpiegowska i kto zdradził. Weteran wraz z Czychem stworzyli Dream Team i dość szybko zdali sobie sprawę, że pierwszy pkt na grze leży 15 minut drogi od bazy w Rudawce. Niestety nie mogli iść piechotą. Wszyscy musieli być desantowani w swoich miejscach zrzutu. Za Samolot typu Halifax posłużył wszystkim autokar.

Desant odbył się bez strat w ludziach i sprzęcie. Dwójka komandosów nie niepokojona przez wroga zagłębiła się w las w poszukiwaniu właściwej przecinki.

Tu warto zrobić dygresję, weteran przez całą nocną grę zmagając się z nieznośnym poczuciem prostoty. Wychowany na grach dh Babci, gdzie wszystkie punkty były pochowane w krzakach, trudne do lokalizacji w dzień, a co dopiero mówić o nocy. Gdzie przecinki właściwie wyznaczało się na azymut od słupka do słupka często przez okoliczne bagna... Tu nagle okazywało się, że przecinki są jak drogi w lesie i wszystko jest łatwiejsze, nawet mapa z początku lat '90 ubiegłego stulecia nie utrudnia zbytnio sprawy faktem, że otaczająca rzeczywistość nie zgadza się z jej zapisem.

Komandosi szybko doszli do wniosku, że zanim odnajdą własny kontakt obejdą wszystkie inne miejsca gdzie mogliby znaleźć odpowiedź na postawione przed nimi zadanie. Szybko odnaleźli Marcina B. Jego widok nie napawał optymizmem, opatulony w łachmany z flaszeczką alpagi, na podorędziu leżał w krzakach... Za pieniądze sprzedał informację. Ponieważ komandosi nie mieli banknotów „10” musieli improwizować przedzierając „20” na pół. (Czym wbili, potem, organizatorów w zadumę...). Na podstawie zakupionej informacji doszli do wniosku, że należy odwiedzić pobliski posterunek NKWD. Po drodze nastraszyli ekipę Maćka W. Polegało to na tym, że młodzież szła po lesie nie zachowując dyskrecji i świeciła na wszystko latarkami. Komandosi leżąc pod świerkiem byli właściwie nie widoczni. Gdy wspomniana ekipa ich mijiała, wyskoczyli, z wrzaskiem, z krzaków... Reakcja straszonych przyniosła dużą satysfakcję straszonym.

W innym miejscu lasu Nauczyciele 24 STO, też wpadli na ten sam pomysł. Tak więc las nocą wcale nie był taki miły i przytulny...

W okolicach mostu na Piecówce, komandosi znów ujrzeli światła latarek. Szybka decyzja – biegniemy za świerk. I tu nastąpiła awaria. Pierwszy biegł Czychu, a zanim weteran. Nagle Czychu zniknął i dał się słyszeć stłumiony odgłos, ułamek sekundy później weteran zdał sobie sprawę, że nie ma gruntu pod stopami. Dwa metry niżej nastąpiło gwałtowne zderzenie z rzeczywistością. Koło drogi wróg wykopał niezłą dziurę w ziemi i tylko cudem, komandosi uniknęli rozrzuconych sztachet w wbitymi gwoździemi na sztorc. Ale nie czas był na lizanie ran i zastanawiania się nad sytuacją, światła latarek zbliżały się coraz bardziej, tym razem efekt straszenia był słabszy, bo i ekipa mijająca była mniejsza (Agata P. i Rafał K.).

Po tym nieznacznym epizodzie Komandosi, skierowali się wprost na posterunek NKWD. Szybko opracowali taktykę, jakoś bez problemu doszli do wniosku, że należy go regularnie spalić.

Na widok ludzi z pochodniami, skład posterunku miał problem aby ustalić kto jest nkawudzią, a kto ukrywającym się partyzantem...

Za drobną opłatą można było porozmawiać przez telefon z ukrywającym się partyzantem, którego informacje niestety nie wniosły nic nowego do gry...

Komandosi zrezygnowali z możliwości desantu na drugą stronę Kanału Augustowskiego, i udali się w kierunku pozostałych punktów. Na sam koniec gry odwiedzili jeszcze raz posterunek NKWD gdzie natknęli się na ekipę Maćka W., która w ramach „zemsty”, za straszenie, zepsuła telefon. Tak więc Komandosi już za darmo mogli porozmawiać przez krótkofalówkę, denerwując innych organizatorów swoimi pytaniami.

Wstawał świt. Gra zakończyła się około 5 rano zbiórką w domku na bindudze, gdzie okazało się, że brakuje tylko druha Jarka i jego ludzi. Wiadomo było, że tylko oni zdecydowali się na desant łódką przez kanał. Pomysł okazał się na tyle fajny, że postanowili przepłynąć kanał też z powrotem.

Wszyscy razem wrócili do Rudawki.

O 10 rano ostre promyki wesołego słońca zaatakowały źrenice weterana. Ktoś zrobił śniadanie, ktoś inny zaparzył herbatę, dzień leniwie wygrał walkę ze snem.

Plan na dzień był prosty:

- Ino;
- 16.00 obiad w Starożynie;
- wieczorne ognisko z kiełbaskami.

Plan został potem modyfikowany przez Druha o mecz reprezentacji Polski z kimś tam...

Ino – kaszka z mlekiem, rzut oka na mapę, która była pofragmentowana i w 15 minut było wiadomo, gdzie są wszystkie punkty. Weteran wraz z Czychem i Agnieszką zachowywali spokój, podczas gdy reszta panikowała... Widząc to organizatorzy wprowadzili utrudnienie, że należy odwiedzić tylko tyle miejsc, aby uzyskać potrzebną liczbę punktów na zaliczenie. Weterani postanowili zająć się zagadką z „trójkątem”. Cudzysłów jest na miejscu gdyż w wyniku błędów organizatorów oraz uczestników trójkąt miał przynajmniej pięć wierzchołków. W lesie walcząc wspólnym wysiłkiem trzech patroli odnaleźli pierwszy pkt. Tam w milczeniu niczym zjawa minął ich druh Jarek, ze swoim patrolem, poczym poruszał coś na busoli i zniknął w lesie idąc metodą na azymut. Zanim podjęto decyzję o dyskretnym śledzeniu go, zniknął w buszu.

W następnym wierzchołku nie było punktu. Chcąc nie chcąc weteran pożyczył dziecięcy trójkołowiec od małej Julki i pognął w las przez wertepy, do innego punktu. Po dotarciu na miejsce za pomocą kosmicznej technologii tzn. satelity telekomunikacyjnego nadawał grupie informację wywiadowczą. W zasadzie grupa i tak musiała dotrzeć na punkt, aby zaznaczyć kredką na arkuszu odpowiednie hasło, ale organizator nie wzmógł nic o telefonach komórkowych i trójkołowcu więc wszystko było Ok.

I tak pomimo luk w regulaminie weterani zajęli słuszne ostatnie miejsca, ale odwróć tabelę...

Obiad w Starożytnie.

Weteran zajął miejsce pod jedną z wiat. Druh Jarek zabrał się na zapisywanie zamówienia, gdyż dwoje poprzedników nie dało rady. Nikt, nawet weteran, nie wiedział dlaczego pierwsza karkówka ze śliwkami wylądowała przed weteranem. Wzbudziło to falę zawiści, i większość osób zanurzyła swoje palce w ziemniakach pytając:

- „Ciepłe?”

Poczym wszyscy ostentacyjnie przenieśli się na taras. Weteran podreptał za nimi ze swoim talerzem, uginając się dodatkowo pod ciężarem wzroku co bardziej wygłodniałych osób. Gdy już kelnerka uspokoiła tłum realizacją zamówienia, padło hasło, że jest więcej karkówki. Tym razem weteran był szybszy niż przeciąg i dobił targu z druham zanim ktokolwiek zdążył cokolwiek zrobić. To przelało czarzkę goryczy... weteran zjadł ją w osamotnieniu.

Z pełnymi bambami wszyscy wrócili do Rudawki.

Wieczór był piękny, nad okolicznymi polami wstawała mgła.

Ludzie rozpełzli się po okolicy spędzając czas na leniwych rozmowach. Wyjątkiem był Paweł B., który zabrał się za montaż lamp w pokoju, trochę przy tym iskrzył i w tych chwilach na moment przygasało światło w całym powiecie, ale koniec końców udało mu się uruchomić wszystko tak jak sobie zaplanował.

Ognisko zostało przełożone na później z powodu meczu. Czychu, Agnieszka i weteran szybko doszli do wniosku, że należy to naprawić. Na miejscu przeznaczonym do ognisk było trochę chrustu, więc szybko zapłonęło ognisko „A 'la Kundel” poparte jeszcze dwoma porcjami drewna zabezpieczonego z pobliskiej drewni. Po niedługim czasie pojawił się Maciek W. Z ekipą, aby rozpaść ognisko, jednak nie było już takiej potrzeby. Korzystając z nadarzającej się okazji młodzież zapytała się jak to kiedyś było...

Cóż weterani mieli zrobić w kilku słowach zasiali ziarenko...

Po meczu odbyło się ognisko, na którym rozdano dyplomy i omówiono wyjazd. Były też kiełbaski, z powodu braku kijków pieczone były na kamieniach.

Dyskusje panelowe trwały do późnej nocy.

Rano Ania M. Doszła do wniosku, że kawa to jest to. Druh Jarek spał na podłodze w kuchni. Ania dokonywała cudów aby zrobić kawę bez potrzeby, naprawdę zbędnej pobudki. Jednak ze śpiwora wyrzało złe oko Druha. Ania z uśmiechem pokazała trzymany w ręku dzbanek, świeżo parzonej kawy. Druh skapitulował...

Po spakowaniu się młodzi pojechali do magazynu robić coś tam, a reszta rozkoszowała się urokami postoj w lesie.

W Warszawie wszyscy byli około 17.00. Na parkingu pod prokuraturą, żując wykałaczkę w kąciu ust, weteran otworzył drzwi od Land Rovera, i nie śpiesznie odjechał w stronę zachodzącego słońca.